

Scena to nie miejsce na kaprysy i humory

Kinga Ścieszko: - Kiedy narodziła się pana miłość do tańca?

Nazar Botsiy: - Zaczęło się już w szkole podstawowej we Lwowie, nauczyciele zauważyli, że coś może ze mnie będzie, wystawiali mnie do różnych ról w szkolnych przedstawieniach. Dostałem się potem do zespołu ludowego. Choreograf dostrzegł we mnie talent i sprawił, że chciałem go rozwijać. Namówił rodziców, żeby mi to umożliwili i kiedy skończyłem szkołę, zdawałem do szkoły baletowej. Nie dostałem się, choć miałem najwyższą liczbę punktów. To były czasy korupcji, łapówek... Zacząłem się wtedy zastanawiać, czy na pewno wybrałem właściwą drogę. Tata przekonał mnie, żebym nie rezygnował. Udało się załatwić tak, że przez rok płaciłem za szkołę, a później przenieśli mnie na nauczanie bezpłatne. Potem wyjechałem do Łucka i tańczyłem w zespole ludowo-stepowym. Bardzo dużo się tam nauczyłem, ale dopiero na Uniwersytecie Kultury i Sztuki w Kijowie doświadczyłem przełomu. Mój taniec powoli przeradzał się w profesjonalny. Wtedy też poznałem Aniko Rachwijaszwili - moją guru. To ona nauczyła mnie najwięcej. Dzięki niej było mi łatwiej z otwieraniem się, wyrażaniem emocji. Nadal korzystam z jej rad i wiem, że będzie tak do końca mojej kariery.

Kiedy taniec przestał być tylko pasją, a stał się pracą, obowiązkiem?

- Podczas studiów w Kijowie musiałem sam się utrzymać. Wtedy poczułem, że moja pasja powoli przeradza się w coś, co pozwala mi zarabiać na życie. Tańcząc jako solista w zespole Aniko, uświadomiłem sobie, że to jest właśnie moja droga życiowa. Musiałem jednak podejmować się również innych prac. Tancerz też człowiek - czasem musi jeść. Pracowałem więc jako nauczyciel, tańczyłem w klubach.

Cały wywiad w numerze majowym "Kalejdoskopu", dostępnym w salonach Ruchu, Kolportera, Garmond-Press, salonach Empik i recepcji Łódzkiego Dom Kultury